



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

St. KRAMSZTYK.

## O zaćmieniach słońca i księżyca.

(Dokończenie.)

Cień księżyca, jak widzimy na rysunku w N° 37, jest krótszy daleko i tam, gdzie ziemia dotyka, jest już nader wązki, blisko wierzchołka swego; mieszkańcy ziemi, w tem miejscu się znajdujący, mają słońce zupełnie przed wzrokiem swoim zakryte, tam przeto zaćmienie jest całkowite; mieszkańcom okolicznym księżyc częściowo zakrywa, mają zatem zaćmienie słońca częściowe, które tem większą część jego tarczy zajmuje, im bliżej dane miejsce ziemi względem cienia zupełnego przypada. W miarę, jak księżyc się przesuwają, wierzchołek jego cienia ciągnie się po ziemi, zajmując pas długi, ale wązki; w całym tym pasie mieszkańcy ziemi mają zaćmienie słońca całkowite, w miejscach okolicznych, po jednej i drugiej stronie tego pasa, zaćmienie jest częściowe. Podobnie, jak co do zaćmień księżyca, tak też i zaćmienie całkowite słońca następuje nie nagle, ale księżyc stopniowo zasłania i odsłania nam tarczę słoneczną. Gdy wierzchołek

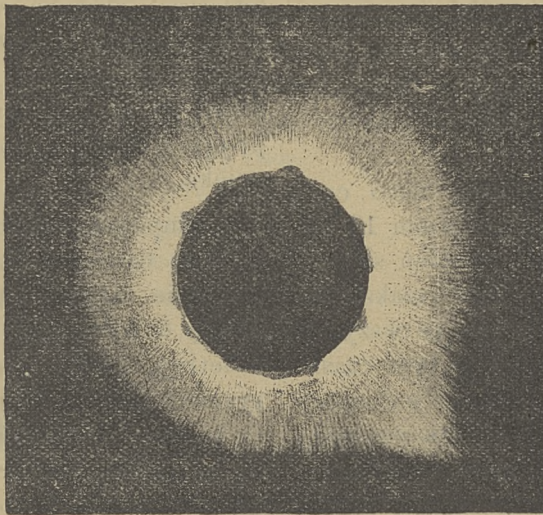
cienia księżyca nie dotyka ziemi, ale nieco poza nią się przesuwają, zaćmienie nigdzie nie jest całkowite, ale częściowe tylko.

Dodać jeszcze należy, że księżyc nie zawsze w jednakiej od ziemi znajduje się odległości; niekiedy usuwa się od niej bardziej, a wtedy wierzchołek jego cienia już nie sięga do powierzchni ziemi; w takim razie księżyc nie zasłania całej tarczy słonecznej, ale dokoła kręgu zakrytego pozostawia jasny, nie-zaćmiony rąbek słońca, a zaćmienie takie nazywamy obrączkowym. Podobnie dzieje się,

gdy kartkę papieru, która nam okno zasłania, od oka usuwamy; zakrywa nam wtedy środkową część okna, ale brzegi jego dokoła pozostawia niezakryte.

Poznaliśmy tedy przyczynę zaćmień słońca i księżyca, a zarazem i różnice, jakie między zjawiskami temi istnieją. Zaćmienie słońca może mieć miejsce tylko podczas nowiu, zaćmienie księżyca tylko podczas pełni; zaćmienia słońca są całkowite, częściowe lub obrączkowe, zaćmienia księżyca tylko całkowite lub częściowe. Są jednak różnice inne jeszcze.

Gdy księżyc jest nieoświetlony przez słońce, nikt go widzieć nie może; skoro więc niknie w cieniu ziemi, kryje się przed wzrokiem wszystkich jej mieszkańców. Znaczący to innemi słowy, że zaćmienie księżyca jest dla całej ziemi



Korona słoneczna w czasie zaćmienia.



zjawiskiem jednoczesnem, w tejże samej chwili następuje dla wszystkich punktów ziemi, w których jest wtedy księżyc widzialny. Inaczej rzecz się ma z zaćmieniem słońca, które jest przecież tylko jego zakryciem, a podobnie jak kartka papieru przesuwana przed oczyma kilku osób zebranych w pokoju zasłania im okno kolejno, nie jednocześnie, tak też i księżyc, gdy przed słońcem przeciąga, zakrywa je różnym mieszkańcom ziemi nie w jednej i tejże samej chwili, ale widok jego w różnych punktach ziemi kolejno przytłumia. Podobnie jak ziemia wiruje w kierunku od zachodu ku wschodowi, tak też i księżyc w drodze swej dokoła ziemi przesuwają się od zachodu ku wschodowi; dla tego też mieszkańcy wschodu później dostrzegają zaćmienie słońca, aniżeli mieszkańcy zachodnich okolic ziemi.

Inna jeszcze różnica między zaćmieniami słońca i księżyca tyczy się czasu ich trwania. Widzieliśmy, że cień księżyca wierzchołkiem tylko niemal swoim powierzchnią ziemi dotyka; przez miejsce więc tak szczerpło ograniczone mija szybko i obserwatorom rychło znów widok słońca chwilowo zakrytego odsłania; zaćmienie więc całkowite słońca jest zjawiskiem krótkotrwałem, trwa zaledwie przez 2 lub 3, a już nader rzadko i co najwyżej około 5 minut. Cień natomiast ziemi w miejscu, gdzie księżyc przezeń przechodzi, ma szerokość znaczną stosunkowo, średnica jego wynosi tam bowiem około 1200 mil, gdy średnica księżyca czyni zaledwie 400 mil; gdy więc księżyc w cieniu się zanurzy, zanim po drugiej stronie wydłżać się z niego zacznie, potrzeba czasu długiego, z kąd zaćmienie całkowite księżyca trwać może do dwóch godzin.

Zaćmienia słońca przypadają nieco częściej, aniżeli księżyca. W ciągu bowiem 18 lat wydarza się dla całej ziemi 41 zaćmień słońca, a tylko 29 księżyca. Wiemy już wszakże, że gdy księżyc jest zaćmiony, widzą to wszyscy mieszkańcy ziemi, dla których w tym czasie księżyc unosi się na niebie; słońce natomiast zakryte jest podczas zaćmienia dla pewnego tylko pasa powierzchni ziemi, gdy mieszkańcy okolic innych w tejże chwili widzą słońce w pełnym jego blasku; ztąd wypływa, że z 41 zaćmień słońca, przypadających dla całej ziemi w ciągu lat 18, w jednym i tem samym jej miejscu 10 jest tylko widzialnych. Jeżeli więc idzie o całą ziemię, częstsze są zaćmienia słońca, jeżeli zaś mówimy o pewnej tylko jej okolicy, częstsze są zaćmienia księżyca. Zaćmienie zwłaszcza całkowite słońca w jednym i tem samym miejscu powtarza się bardzo rzadko, przypada bowiem mniej więcej raz na dwieście lat. W ciągu całego wieku dwudziestego w War-

szawie nie przypadnie ani jedno zaćmienie całkowite słońca, chociaż w innych okolicach kraju kilkakrotnie się powtórzy.

Słońce, podczas zaćmienia całkowitego zakryte przez księżyc, jest oczywiście zupełnie niewidzialne; księżyc natomiast, chociaż jest w cieniu ziemi całkowicie pogrążony, daje się dostrzedz i ukazuje nam wtedy tarczę swą, jako krąg ponury, ciemno brunatny; zdumiewające to zjawisko tem się tłumaczy, że pewna część promieni słonecznych, pomimo przegrody przez ziemię stawianej, przedostaje się do księżyca; są to mianowicie promienie, które przedzierają się przez powietrze nasze, przez atmosferę ziemską, załamują się w niej, a w ten sposób zbaczając z pierwotnej swej drogi, że dochodzą do księżyca i powierzchnię jego rozjaśniają, chociaż blaskiem nader słabym.

Jako zjawiska niezbyt powszednie, zaćmienia budzą zawsze zaciekawienie powszechne, prawdziwie jednak zdumiewające i wstrząsające zjawisko przedstawiają tylko zaćmienia całkowite słońca. Dopóki słońce nie jest zupełnie przez księżyc zakryte, dopóki chociaż drobny jego skrawek pozostaje niezastłonięty, jasność dzienna wyraźnego przytłumienia nie doznaje i obniża się zaledwie do tego stopnia, jak podczas dnia pochmurnego. Dopiero, gdy gaśnie ostatni promień słońca, ciemność ziemię zalega, dzień jasny nagle w noc czarną się zmienia, a na niebie ukazują się jaśniejsze przynajmniej gwiazdy, których widok blask słońca przed chwilą jeszcze przytłumiał. Ta ciemność niezwykła tak potężna i przerażająca sprawia wrażenie, że ulegają mu nawet zwierzęta, a grozą przejęte było z pola do obór swych z rykiem ucieka.

Zupełną wszakże nie jest ta ciemność, w tejże bowiem chwili, gdy niknie z oczu do szczętnie zaćmiona tarcza słoneczna, rozpościera się dokoła niej blask srebrzysty, wieniec świetlny, zwany koroną słoneczną; załączony rysunek daje o niej wyobrażenie. Co to jest ta korona słoneczna, tego dobrze nie wiemy; są to może ostatnie, najwyższe warstwy atmosfery otaczającej słońce, przez promienie jego rozjaśnione. Przy pełnym blasku słońca korona ta gaśnie i jest niewidzialna, dostrzedz się daje jedynie na krótką chwilę podczas zaćmienia całkowitego. Z przelotnej tej chwili starają się skorzystać astronomowie i gorliwie obserwują każde zaćmienie całkowite słońca, by coraz lepiej naturę korony jego poznawać, ztąd bowiem wyprowadzać się dają wnioski o budowie samego słońca. Rzecz osobliwa, — tajemnice swoje odsłania nam słońce najchętniej wtedy, gdy samo jest zasłonięte.



Dzieje nauki zachowały podanie, że po raz pierwszy zaćmienie słońca przepowiedział filozof grecki Tales w roku 585 przed Chrystusem, a przepowiednia ta stanowi fakt ważny i pamiętny w historii cywilizacji ludzkiej. Nie spodziane bowiem i nieprzewidziane zjawiska przyrody przerażają człowieka, gnębią go i oddają pod przemoc jednostek i kast, które lepszą znajomość natury na korzyść własną wyzyskują. W starożytnym Egipcie kapłani utrzymywali władzę swą przez umiejętność przepowiadania zaćmień, a dziś jeszcze podobno służy to tak samo mandarynom w Chinach.

Gdy Kolumb na Jamajce z garstką towarzyszy znalazł się w położeniu zagrożonem wobec licznych i uzbrojonych wyspiarzy, zdobyło go z niebezpieczeństwa zaćmienie księżyca, oznajmił on bowiem dowódcom krajowców, że gdy mu żywności nie dostarczą, sprowadzi na nich największe nieszczęścia, a przede wszystkim pozbawi ich blasku księżyca. Indianie szydzili z tych groźb, gdy jednak księżyc zagasł, rzucili się na kolana i spełnili wszystkie żądania Hiszpanów.

Zaćmienie tych tylko przerażać może, dla których jest zjawiskiem nagłym i niespodzianym; skoro wszakże powrót jego obliczyć i oznaczyć możemy, jestto dla nas zjawisko prawidłowe zupełnie, które już grozą przejmować nas nie może.

Astronomia dzisiejsza tak dokładnie przepowiada zaćmienia słońca i księżyca, że w obliczeniach swoich nie myli się ani o sekundę, ani o drobny ułamek sekundy. Dzięki bowiem wytrwałej pracy długich pokoleń, od czasów najdawniejszych, znamy dokładnie prawa rządzące ruchami ciał niebieskich, a na tej zasadzie obliczyć z góry można chwilę, gdy słońce, ziemia i księżyc, choćby w najodleglejszej nawet przyszłości, znajdą się w takim, względem siebie położeniu, że księżyc widok nam słońca zakryje, lub sam się w cieniu ziemi pograży.



### ***Jesień jesienna.***



*Już liść spada,  
Jesień blada  
Zimny oddech śle.*

*Dni bez słońca,  
Noc bez końca,  
W szarej toną mgłę.*

*Wiedną kwiaty,  
A ich szaty,  
Coraz bledsze już.*

*Bujne drzewa,  
Chłód odziewa,  
W czarodziejski róż.*

*Serce boli,  
Mimowoli,  
Z oczu płynię łza,*

*Czemuż wiosna,  
Tak radosna,  
A tak krótko trwa?*

*A jesienne,  
Dni tak zmienne,  
Zima długa, zła,*

*Z śniegów chmurą  
Nad naturą  
Długą władzę ma?*

*A więc trzeba  
W stronie nieba  
Prawdy szukać dróg,*

*Gdzie nad światem,  
Zimą, latem,  
Mądry czuwa Bóg.*

*Tam zagadka,  
Choć nie gładka,  
Wynagrodzi trud*

*Gdy duch wszędzie,  
Widzieć będzie:  
Dobroć, mądrość, cud.*

*W świetle wiary,  
Pierzchną mary,  
W oku oschnie łza.*

*I z kolei,  
Blask nadziei,  
Nową siłę da.*

E. Lejowa.





Z. Morawska.



# Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Głos wojewody uspokoił go nieco, chciał wstać, lecz tak się zaplątał w opończę, która zeń do cna spadła, że bez pomocy towarzyszy nie byłby mógł tego uczynić.

Ci go okryli i wzięwszy pod ręce wiedli do izby.

I dobrze się stało, bo oto i dwór niewieści budzić się począł i z niejednego okna wyzierało zarumienione snem liczko.

J. wielmożna zaś wojewodzina wysłała służebną, mówiąc:

— Obacz, czy broń Boże, kto nie zachorzał. A może plagi mają kemu sypać, tobym uprosiła małżonka, żeby darował, — dodała odziewając się szybko.

Gdy zaś służebna wracała z komnat dwórek, wychyliła się Zosia Kosnowna i spytała:

— Bodaj imię Rej tak zawodzi?

— Za rodzicem panienko, za rodzicem, — mówiła zadyszana dziewczyna.

— Abo co?

— Pono nie żyje, rzuciła służebna i pobiegła zdać sprawę wojewodzynie.

Kosnowna westchnęła i jakoś ją dziwnie coś za serce ścisnęło.

Rej począł się jak najprędzej wybierać, a raczej towarzysze za niego o wszystkim co do drogi potrzebne myśleli, bo jak wiemy on sam w rozpacz nie miał pomiarkowania, trudno też i myśli składowej było od niego żądać.

Nadszedł też i Chudzina, którego już ktoś o nieszczęściu zawiadomił.

Mikołaj uspokojony nieco, ujrawszy Jaska, rzucił mu się na szyję i szlochając, wołał:

— Pojedziesz ze mną, pojedziesz, boć sam chyba się zatrapię.

— Idę prosić ojca Szymona o pozwolenie, — rzekł, wybiegając.

A idąc rozmyślał:

— Jak tu jechać, kiedy ojciec Szymon i ojciec Klemens takie dysputy z Trepką o Lutrze wiodą.

— I naturalnie dowiodą, że nie masz lepszej nad naszą religią, — dodał.

— Moznaby się dużo z takiego słuchania przyczynić, — myślał sobie dalej.

Ale stanęła mu jakoś w oczach Elżbietka, a też żal mu było i Mikołaja, którego znał, że jak się zapamięta w radości czy rozpacz, to już zgola o niczem nie wie.

I wkrótce gotów do drogi się zjawił.

Gdy poszli wojewodzie się pokłonić, ten rzekł do Chudziny:

— Poczciwy snać jesteś, że w nieszczęściu przyjaciela nie opuszczasz.

Mikołaj ryknął płaczem, a Chudzina skłonił się wojewodzie do kolan.

Tęczyński zaś mówił:

— Siedźże z nim póki żalu nie ukoi, potem zamelduj mi jak i co.

I zara jakby namysławiając się, mówił nieco ciszej.

— Słyszysz kończysz już kurs prawa w akademii, a też i wypisać się potrafisz, trzeba ci szukać promocyi, — pomówię o tem z księdzem Szymonem.

Chudzinie aż dech w piersi się zaparł z wielkiego ukontentowania, pokłonił się też jeszcze niżej i rzekł:

— Polecam się łasce j. wielmożnego wojewody.

Poczem ruszyli w podróż.

Chudzina na podjezdku ze stajni wojewody wyglądał arcypocieszenie, nie umiał sobie jakoś z nim dać rady.

Aż Rej, zobaczywszy to, jakoś się uśmiechnął i zawołał:

— Siadaj ze mną, wezmę cię jak dzieciaka, a koń będzie myślał, że to mucha jazdy używa.

Chudzina nie odrzekł, jeno poprawił się na koniu, a chociaż lęk go ogarniał, żeby nie fiknął koziołka, podążał jakoś.

Ile, że Mikołaj mrugnął na Pietrków, obaj wzięli go między siebie, i jakoś szczęśliwie już prawie bez odpoczynku do Nagłowic przybyli.

Tym razem o tyle Mikołaj zdążył, że zastał ojca przy życiu ale sparaliżowanego.

Chociaż ruszać się nie mógł, mówił wszakże, i uściskawszy jedynaka, rozkazy mu wydawał co do gospodarstwa i całego obejsia.

Stryj proboszcz musiał odjechać, — odjechał też i Chudzina.

Zdążył wszakże z Elżbietką parę słów zamienić, a ta go upewniła:

— O klasztorze zgola nie myślę, — chyba...

— Chyba? — nalegał Jasek.

— Żebyś waćpan ostał księdzem... — odparła, spuszczać oczęta.

Chudzinie twarz się rozjaśniła i z dobrą myślą odjechał.

Rej niby to gospodarował, a więcej wybiegał w pole, siedział z wędką, i sypał dyktoryjki braci szlachcie, która tłumnie zjeżdżała do Nagłowic.

Aż się też i zjechała na wielką, a smutną uroczystość, bo pan Stanisław Rej życie zakończył.

Że zaś jedno nieszczęście za drugim idzie, Mikołaj ledwie miał czas obetrzeć oczy po pogrzebie rodzica, jużci musiał stryja opłakiwać.

Opłakiwał też po swojemu gwałtownie, aż go przyjaciele cieszyli, mówiąc między sobą:

— Toć on w tym smutku upamiętania niema.

— Jak w smutku, tak bodaj i w radości, dodawali inni.

A panna Kordula lejąc łzy nad nim, dreptała dogadzając i mówiąc do siebie.

— Toć i my teraz sieroty, jeno nam ten Mikołajek ostał na świecie.

Martwiła się też poczciwa ochmistrzyni, że Mikołajek zamyka się w swojej komnacie i tam samotnie siedzi, zwierzyła się więc Elżbietce.

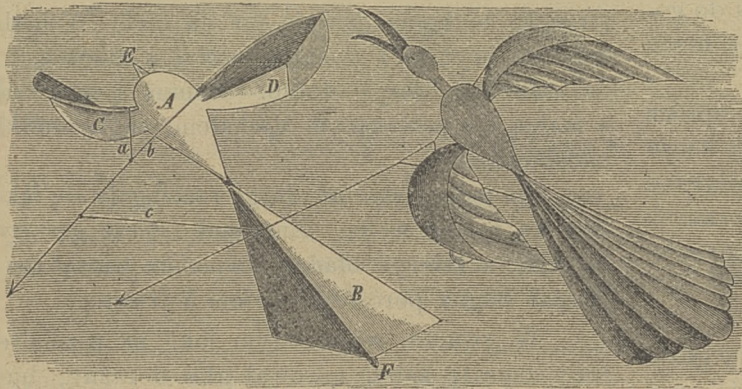


## LATAWCE.

Coraz ciszej — wrzesień! wrzesień!  
Słońce rzuca blask z ukosa  
I dzień krótszy, chłodna rosa —  
Ha i jesień — polska jesień!

*Z poezji Wincentego Pola.*

Przyszła już jesień, a z nią razem okres wiatrów mniej lub więcej silnych, pora najprzejazniejsza do puszczania latawców.



Rys. 1. Latawiec o kształcie ptaka.

Wielu zapewne czytelników „Wieczorów“ z zamyśleniem oddaje się tej zabawie i potrafi robić zwykłe latawce z węzowymi w postaci łańcucha papierowego ogonami.

Ale oprócz znanych u nas kształtów latawców, można im nadawać rozmaite formy, jak to świadczą załączone rysunki.

Przedstawione na tych obrazkach latawce, odznaczające się swą oryginalną budową, pochodzą z Chin, gdzie robieniem i puszczaniem latawców zajmują się nie tylko dzieci ale i dorośli, a rozrywka ta należy do najbardziej rozpowszechnionych wśród ludności.

Na rysunku pierwszym widzimy latawca, postacią przypominającego ptaka.

Sposób jego wykonania dosyć jasno przedstawiony jest z lewej strony ryciny, dajemy więc tylko objaśnienie co do szczegółów roboty oraz niezbędnych materiałów.

Chińczycy w tym celu posilkują się bardzo cienkimi deszczułkami w rodzaju tak zwanych *fornierów*, używanych u nas przez stolarzy do obkładania z pospolitszych gatunków drzewa wykonanych szaf, stołów, łóżek i wogóle sprzętów meblowych.

Ale fornier doskonale można zastąpić tekturą, z której przedewszystkiem należy wykroić tułów, oznaczony na rysunku literą *A*, dalej również z tektury trzeba wyciąć dosyć spory trójkąt równoramienny i przegiąć go przez środek; otrzymamy w ten sposób ogon, wskazany na rysunku przez literę *B*. Ogon przytwierdza się do tułowia tak, że w przegięciu przykleja się klejem lub przybija małymi gwoździkami pręt drewniany (*E F* na rysunku),—drugą częścią od końca *E* przymocowany do tułowia *A*.

Skrzydła *C* i *D* robi się z tektury fantazyjnie wygiętej, przyczem dla ułatwienia sobie roboty można wziąć tekturę nieco cieńszą niż ta, jaką używaliśmy na tułów i ogon.

Na końcu pręta *E* zasadzamy odpowiednio przykrojony korek, mający przedstawiać głowę ptaka; dwa ostro zakończone paski tektury przytwierdzone do korkowej głowy naśladują otwarty dziób.

Latawiec prawie gotów, ale by jeszcze dokładniej naśladował ptaka można z wierzchu na skrzydłach i ogonie poprzyklejać pióra, starając się umieszczać je mniej więcej równolegle do pręta *E F*.



Rys. 2. Latawiec w kształcie fantastycznego smoka.



Pozostaje teraz przywiązanie sznurków, utrzymujących latawca w pewnem położeniu. Przyczepia się je z dwóch boków do skrzydeł niedaleko miejsca przytwierdzenia do tułowia i do przegięcia ogona, w punkcie odległym od tułowia mniej więcej o jedną trzecią całej długości ogona (patrz rys. 1).

Jak się te trzy sznurki łączą ze sobą, to zupełnie dokładnie i zrozumiale widać na rycinie.

Innej zupełnie postaci latawca przedstawia rysunek drugi.

Jest to coś w rodzaju fantastycznego smoka, a łatwiej nawet wykonać go od podanego na poprzednim obrazku.

Bierze się 7 krążków tekturowych (można też mniej lub więcej od tej liczby) ze starych pudełek naprzykład i wiąże się je ze sobą sznurkami: dwoma po bokach, a trzecim z góry po środku tak, żeby krążki po podniesieniu do góry nie miały pozycyi poziomej ale były nieco pochylone.

Do boków wszystkich krążków oprócz pierwszego przymocowuje się gęsie lub kacze pióra, na pierwszym maluje się fantastyczne oblicze i w środku przytwierdza się sznurek do trzymania w ręce, a do ostatniego przylepia się papierowy ogon. Na tem koniec.

Prawda, nie trudne?

Mam też nadzieję, że niebawem, gdy gdzie zobaczę gromadkę dzieci, zabawiających się puszczaniem latawców, oprócz zwykle spotykanych ujrzę też inne na podobieństwo tych chińskich, powyżej opisanych, zbudowane.

„Wieczór Rodzinny“.



Oj, ty boćku...

Oj, ty boćku, biały boćku,  
Czy ci też nie żal,  
Rzucać nasze pola, łąki  
Lecieć w siną dal?...

Jabym chaty swej nie rzucił,  
Ni rodzinnych pól,  
Choćby jeno łązy dawały,  
Jeno łązy, a ból.

Hej! nie jedną-m łzę wypłakał,  
Gdy zaszumiał bór:  
Siwy boćku, czy też wrócisz  
Z za dalekich gór?...

Hej! nie jedną-m łzę wypłakał,  
Hej! wypłakał moc,  
Gdy nad gniazdem mem zawisła  
Srebrno-gwiazdna noc.

I rozsnuła jasne smugi  
Po przez łąki... w dal...  
Ej, ty boćku, miły boćku,  
Czy ci nas nie żal?

Janina Porazińska.



B A K.

Romuś jechał z mamą w odwiedzinach do cioci na wieś. Gdy wysiedli na stacyi kolei, spostrzegli, że konie czekają już na nich. Wsiedli więc do bryczki i woźnica ruszył z miejsca.

Jechali dosyć długo. Romuś rozmawiał z mamą i z powożącym Michałem, nagle umilkł nadsłuchając.

Po jednej stronie drogi rozciągały się łąki szeroko zalane wodą. Zmierzch coraz gęstszy zapadał, a księżyc bladym światłem zaczął rozjaśniać bagna porośnięte sitowiem i trzciną.

W gwarze wieczornym jaki na rozmaite tony czyniły żaby, górował głos doraźny, buczący, jakby wychodził z pod ziemi, a składający się tylko z dwóch sylab: bu—buum, ostatnia dźwięczała długo i przeciągle.

— Co to jest?—zapytał Romuś zaniepokojony, oglądając się wokoło.

— To bąk, — odparł, śmiejąc się, Michał.

— Jaki bąk?

— Ptak, co żyje na bagnach.

— Ptak? ja znam tylko owady bąki, ptaka nigdy nie widziałem.

— Nie widział panicz, bo one cały dzień śpią ukryte w sitowiu, wieczorem tylko wychodzą na żer.

— A Michał widział je kiedy?

— Widziałem, bo czasem umyślnie wybieraliśmy się z dziadkiem na polowanie wieczorem. U nas, jak panicz widzi, dużo jest bagien, a to jest ulubione miejsce przebywania bąków.

Podkradaliśmy się ostrożnie, bo bagna są niebezpieczne i przy świetle księżyca zobaczyliśmy bąka: — stał, okręciwszy szyję o trzcinę i zanurzwszy dziób w wodę. Dlatego to głos jego wydaje się, jakby z pod ziemi wychodził.

— I co dalej, co dalej? — pytał zaciekawiony Romuś.



— Przy ludziach toby poweselał ale jak sam ostanie, to się pewnikiem żałości oddaje.

— A może się modli? — rzekła Elżbietka.

Panna Kordula westchnęła wznosząc po-  
bożnie oczy ku niebu.

— Może tam i macierz go odwiedza, —  
pomyślała sobie.

I choć się bała ujrzeć ducha pani Barba-  
ry, zakradła się jednak i ujrawszy światło  
poczęła przez uchylone drzwi do izby Mikołaja  
zaglądać.

Nie ujrzałać wprawdzie cienia nieboszczki,  
niemniej mało nie zemdląca.

Podreptała też zaraz do Elżbietki i łamiąc  
ręce rzekła:

— Toć on siedzi i pisze!

— Kto?

— Toć nie kto, jeno imię pan Mikołaj! —  
powtórzyła zniecierpliwiona.

— Pisze, to i co? — zapytała dziewczyna.

— O, głupia sroko! — wybuchnęła ochmi-  
strzyni.

Elżbietka wytrzeszczyła oczy.

— Toć on nigdy tego nie robił... a taki co  
pisze, to ksiądz, albo duszę czartu oddaje, —  
biadała panna Kordula.

— Panie strzeż duszy jego! — wołała kłę-  
kając.

I Elżbietka, klękawszy obok, powtarzała za  
nią modlitwę.

Mikołajek tymczasem wyjechał, zostawia-  
jąc całe gospodarstwo na opiece sług i pole-  
cając wszystko pieczy wiernej ochmistrzyni.

— A też i o Elżbiectce pamiętajcie, — do-  
dał, — mrugając oczami.

— Moja jagoda, — jak on to o wszystkich  
pamięta, — westchnęła zacna ochmistrzyni, czy-  
niać znak krzyża świętego za odjeżdżającym.

## XXV.

### *Kogo imię Mikołaj wracając z zamku spotkał.*

W życiu państw i narodów, jak w życiu  
jednostki są chwile jasne, szczęśliwe, są chwile  
złotej jutrztenki, uśmiechy losu, lecz są i dni  
chmurne, pełne trosk i niepokoju.

Państwo, jako zbiorowa jednostka powin-  
na je odczuwać za wszystkie jednostki, za kraj  
cały, za naród.

Polska za Jagiellonów rozrosła w potęgę  
państwową i narodową, — umocniła się w zna-  
czeniu wobec państw innych, Jagiellonowie za-  
siedli nie tylko na tronie Polski lecz Czech  
i Węgier, stali się rodem potężnym lecz ta  
potęgą i przewagą skłaniała się ku temu, który  
władzą najmężniejszem państwem, tj. Polską.

Przeto i dom Habsburski pragnąc uwień-  
czyć swe skronie koroną Czech i Węgier kła-  
niał się Zygmuntowi I-u, a kłaniał się przez  
krewnicznię swoją Bonę Sforcę, którą nie na  
próżno wyswatał podżyłemu już wówczas mo-  
narsze. Zręczna Włoszka umiała też dobrze  
chodzić koło swoich interesów. Podając więc  
ucho na wszystkie strony, z jednej nasłuchi-  
wała rad panów polskich, którzy mając wstręt  
do Habsburgów, prowadzili na tron Zapolie,

z drugiej podawała ucho podszeptom krewniaka  
swego Ferdynanda cesarza niemieckiego, który  
obiecał jej duże sumy, gdy sprawę kandydata  
węgierskiego zniweczy.

Zniweczyła ją więc pomimo zabiegów Tę-  
czyńskiego i wielu innych panów.

Zygmunt nie chcąc się płatać w wojnę,  
przestał popierać Zapolie.

I to było właśnie jedną z chmur w owym  
czasie na jego panowaniu.

Lecz ukazywała mu się zaraz złota jutrze-  
nka i blaskiem swoim radowała naród cały.

Tą jutrztenką była myśl koronowania jesz-  
cze za swego życia dziesięcioletniego jedynaka  
Zygmunta, który wraz z koroną otrzymywał  
imię Augusta.

Litwa już poprzednio ogłosiła go swoim  
panem.

Polska oddawała mu koronę.

Panowie chętnie przystawali na koronację.

— Małoletni król należy do nas, pójdzie  
też za naszą radą, — mówiono.

(D. c. n.)



*B. Dyakowski.*

## Z wycieczek wakacyjnych.

(Ciąg dalszy.)

Obejrawszy łażienki, skosztowawszy ze  
źródła Maryi wody o smaku nie najprzyjemniej-  
szym, i przeszedłszy przez całą długość deptaku,  
ruszamy aleją prowadzącą w głąb parku. Oceniają  
ją lipy, których gałęzie okryte są obecnie pą-  
czkami. Jakież cudowny zapach będzie tu za dni  
kilka!

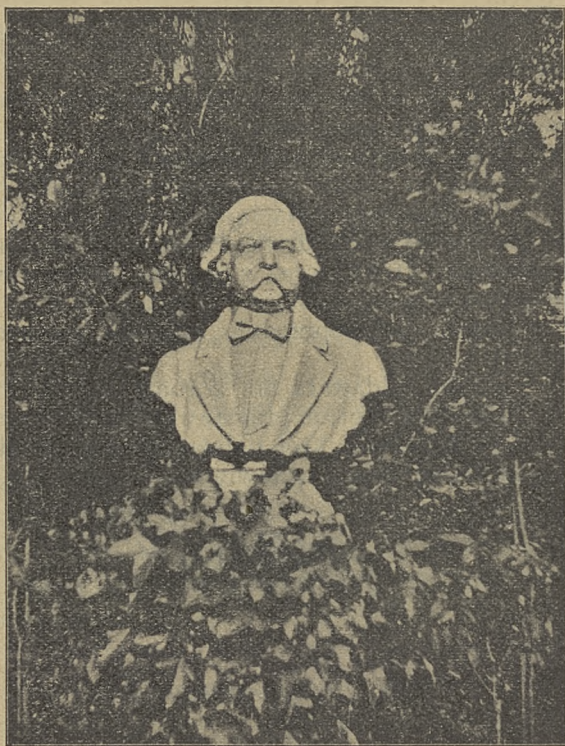
Po lewej stronie ulicy widać dom, „pod  
Matką Boską“ zbudowany na stoku wzgórza,  
mający ogromną werandę restauracyjną oraz ta-  
ras, wzniesiony o kilkanaście schodów nad po-  
ziom ulicy. Stok poniżej tarasu opleciony jest  
suto kaprifolium, a z werandy dochodzi nas  
głos gramofonu, śpiewającego jakąś arję ope-  
rową. Tego tu też nie było przed 50 laty! ale  
aryę w tej chwili wyśpiewuje z Halki, a więc  
starą.

O parę kroków dalej napotykamy wśród  
krzewów popiersie ś. p. Juliana Zubrzyckiego,  
założyciela zakładu. Zdaje się spokojnie i z uwa-  
gą przyglądać się zmianom, jakie czas porobił  
w założonym przezeń zakładzie, i dumać nad  
dalszą jego przyszłością.

Stąd drogi się rozchodzą i prosto, a wła-  
ściwie lekkim łukiem wprawo idzie ulica pro-  
wadząca do bramy wjazdowej; na lewo, prowa-  
dzi nas w głąb parku koło willi, nazwanej na  
cześć naszego miasta — Warszawa, chociaż znaj-



duje się ona na stoku góry, a nie jak tamta na równinie. Jest to jeden z ładniejszych i lepiej urządzonych domów w zakładzie.



Założyciel zakładu kąpielowego w Rabce,  
ś. p. J. Zubrzycki.

Droga koło „Warszawy” pnie się niezbyt wysoko, ale dość strmo w górę. Idąc nią, natrafiamy na osłoniętą drzewami halę przeznaczoną na lekcje gimnastyki leczniczej i zwyczajnej. Tam też albo na deptaku krytym koło łaźniek odbywają się w dni słotne zabawy dzieciinne.

Tuż za halą na lewo znajduje się las szpilkowy, tak mile nęcący w dzień letni, że skreślamy do niego odrazu, chcąc przede wszystkim zobaczyć tę cienistą i balsamiczną część parku. Zaraz u wejścia do lasu, widzimy małą kapliczkę drewnianą tak ukrytą wśród smereków (świerków), że możnaby przejść nie zwróciwszy wcale na nią uwagi, gdyby nie to, że zwiedzamy wszystko, jak prawdziwi turyści i żaden szczegół nie ujdzie naszego wzroku.

Za kaplicą las ciągnie się dalej na pochyłości wzgórza ku Słońcu, której łożysko miga nam wciąż między drzewami; stok ten porznięty jest kilku wąwo-

zami, kto chce ich unikać, musi trzymać się ulicy, idącej górą, kto jednak lubi ćwiczyć się w zręczności, zapuszcza się bez namysłu w wąwozy i używa wrażeń, schodząc na ich dno po schodkach, utworzonych z wystających korzeni, a następnie drapiąc się z powrotem po ich stokach, śliskich od pokrywającego je igliwia.

Ulica, która nas wyprowadziła do lasu, zwięża się wkrótce i przechodzi w zwykłą ścieżkę. Ta zaczyna się spuszczać w dół i po chwili wyprowadza nas na skraj lasu, na małą ale bardzo miłą łączkę, położoną tuż nad Słonką. Tu ściągają nieraz gromadki dzieci, lub młodzieży, aby w miejscu, gdzie nie potrzeba się krepować względami na spacerujących, urządzić jaką hałaśliwą a pełną zapału grę.

Właśnie widać kilkunastu starszych gimnazystów, jak pozzrucawszy bluzy, przygotowują plac do piłki nożnej, która tymczasem spoczywa sobie spokojnie pod drzewem. Imponująca piłka! Toż to się zacznie za nią uganiać, toż to będą „świece” oraz inne popisы zręczności artystów w tej grze!

Ale stać trzeba wtedy na uboczu. Pamiętam dobrze, jak w parku Jordana w Krakowie jakiś nieświadomy rzeczy widz chciał taką lejącą piłkę zatrzymać parasolem: zaraz się z niego zrobiły dwa, tylko, że żadna z tych dwu części nie była już zupełnym parasolem. Taka łączka to odpowiednie miejsce dla piłki nożnej, niż jaki plac w środku zakładu, gdzie piłce może się zachcieć raptem zawrzeć bliższą znajomość z którymś z dzieciaków, uwijających



Droga do źródła Maryi w Rabce.

się w bliskości. A byłoby wtedy płaczu i krzyku dosyć!

(D. n.)



# Król Przestrzeni.

Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład J. P.

(Ciąg dalszy.)

Nie mogłem pojąć taktyki kapitana. Za pół godziny najwyżej zagrodzą nam drogę wodospady. Odwrót uniemożliwiały parowce, któreby niewątpliwie zatopiły... *Grozę.*

Muszę się więc zdecydować wreszcie na ucieczkę, rzucić się w pław i dostać się na wyspę Navy. Lecz czułem, że teraz właśnie jestem śledzony pilnie. Jeden z marynarzy nie spuszczał mnie z oczu. A więc los mój związany ściśle z losem Króla Przestrzeni!

Odległość między *Grozą* a parowcami zmniejsza się z każdą chwilą. Czyżby wskutek ostatniego wypadku cudowny statek nie mógł się już poruszać z większą szybkością? .. kapitan jednak nie zdradza najmniejszego niepokoju... nie zbliża się do brzegu.

Z jednej strony słyszymy gwizd wypuszczanej pary, widzimy gęste słupy czarnego dymu — z drugiej dochodzi nas ryk wodospadów, odległych najwyżej o trzy mile.

Płyniemy w pobliżu lewego brzegu rzeki, mijamy Navy. Przed nami widnieją już wysokie drzewa na Goat-Island. Prąd staje się coraz bystrzejszy... Za chwilę parowce zmuszone będą zaprzestać pogoni... Nie mogą przecież ścigać przeklętego kapitana w spienionych nurtach wodogrzmotu, nie pójda za nim w przepaść, 180 stóp głęboką.

Istotnie, przeciągły świst maszyn — rozdziera powietrze; parowce zatrzymują się na odległości 500 — 600 stop od wodospadu. Rozlegają się wystrzały. Kilka kul armatnich przelatuje ponad *Grozą*, nie wyrządzając jej szkody.

Słońce zaszło. Księżyc rzuca swe srebrne promienie na pograżoną w mrokach ziemię. Szybkość prądu podwaja szybkość *Grozy*. Za chwilę uniesie nas ku czarnej, groźnej otchłani...

Z przerażaniem spoglądam na znikające brzegi Goat-Island. Drobnouchne bryzgi spienionych wód uderzają mnie po twarzy, chłodząc rozpalone czoło.

Powstaję z miejsca, by rzucić się w rzekę.

Lecz ręka marynarza chwyta mnie za ramię.

Równocześnie uszu moich dochodzi głośny huk motoru. Duże, dotąd niezrozumiałe dla mnie przyrządy, umieszczone po obu bokach statku, roztaczają się na podobieństwo skrzydeł... *Groza*

wznosi się w przestrzeń, a w sekundę później przelatuje ponad ryczącym wodospadem, oblanym potokami seledynowego światła.

## ROZDZIAŁ XV.

### Gniazdo orle.

Kiedy nazajutrz zbudziłem się z ciężkiego snu, *Groza* stała bez ruchu. Zrozumiałem to od razu. Czy miałem ztąd wnioskować, że się już



*Groza* przelatuje ponad ryczącym wodospadem.

znajdujemy w owej tajemniczej kryjówce, której dotąd odnaleźć nie mogła żadna istota ludzka?...

Kapitan zabrał mnie z sobą... Czyżby zamierzał odsłonić przede mną tak starannie ukrywaną tajemnicę?...

Dziwnem się może wydać, że podczas podróży napowietrznej zasnąłem tak gładoko. Nie mogłem pojąć, jak się to stało. Przypuszczam, że do jedzenia dosypano mi jakichś proszków usypiających. Zapewne w ten sposób chciał mnie kapitan pozbawić możliwości zorientowania się kędy i dokąd lecimy. Ostatnie wrażenie, które zapamiętałem, było niezwykle potężne... Miałem



wciąż jeszcze przed oczami te chwile, kiedy *Groza*, którą już prawie porywały kłęby spienionej wody potężnym ruchem olbrzymich skrzydeł uniosła się w powietrze.

A zatem niezwykle przyrząd Króla Przestrzeni miał zastosowanie czworakie: służył do jeżdżenia po ziemi, do pływania po powierzchni wody, pod wodą i do latania w powietrzu. W każdym środowisku mógł się poruszać z niepraktykowaną dotąd siłą, łatwością i szybkością! Przekształcenia dokonywały się w czasie niesłychanie krótkim! Motor był zawsze jeden i ten sam... lecz skąd czerpał źródło swej energii o tem nie miałem pojęcia... Kim był ten genialny Król Przestrzeni, którego zręczność i odwagę mogłem podziwiać wczoraj?

Gdy przelatywaliśmy ponad wodospadem wieczór był jasny, widziałem więc doskonale, jak o trzy mile minęliśmy most Suspension, poniżej wodospadu Podkowy, gdzie prąd rzeki jest najsilniejszy. Stąd też Niagara zwraca się ku Ontario. Zaraz za mostem skierowaliśmy się lekko ku wschodowi. Kapitan stał zawsze przy sterze. Kierował *Grozą* z łatwością zupełną. Widocznie w powietrzu czuł się równie bezpiecznym, jak na lądzie i morzu.

Wobec podobnych rezultatów przestała mnie zadziwiać bezdenna pycha tego, który mianował siebie Królem Przestrzeni. Miał przecież do swego rozporządzenia przyrząd jedyny w swoim rodzaju, przewyższający wszystko, co dotąd stworzył rozum ludzki, i z którym wszelka walka była niepodobieństwem... Pocóż miał go sprzedawać za miliony?... Cóżby za nie mógł nabyć lepszego?

W pół godziny później ogarnęło mnie obeh władnienie zupełne. Nie pozostał mi nawet cień wspomnienia, co zaszło później owej nocy z 31 lipca na 1 sierpnia.

Obudziłem się w tej samej kajucie, w której spędziłem noc na jeziorze Erie. Skonstatowałem odrazu, że *Groza* znajduje się w spoczynku zupełnym. Nie odczuwałem najlżejszych poruszeń. Widocznie znajdowaliśmy się gdzieś na lądzie. Spróbowałem podnieść klapę, wiodącą na pokład. Daremnie.

Czyżby trzymano mnie w zamknięciu aż do chwili, gdy *Groza* rozpocznie znowu wędrówkę napowietrzną lub podwodną?...

Łatwo zrozumieć niepokój i gorączkową niecierpliwość, które mnie ogarnęły.

Po upływie kwadransa usłyszałem jakiś hałas, jakby szmer podnoszonych sztab. Otwarto klapę, potoki światła i powietrza zalały kajutę.

Jednym skokiem znalazłem się na pokładzie. Oczy moje skwapliwie objęły horyzont.

Znajdowaliśmy się na ziemi. *Groza* stała w środku owalnej płaszczyzny, pokrytej żółtawym zwirem i mającej od 15—18 stóp w obwo-

dzie. Dokoła wznosiły się wysokie skały. Nigdzie ani jednej trawki. Poniżej rozciągało się jakby morze gęstej mgły, przez którą nie przebijał się ani jeden promyk słońca. Lekkie obłoczki czepiały się nawet piaszczystego dna platformy.

Widocznie ranek był jeszcze wczesny. Uczuwałem silny chłód, pomimo, że był to 1-y sierpnia. Wnioskowałem stąd, że się znajdujemy na znacznej wysokości, lecz gdzie mianowicie... nie miałem najmniejszego pojęcia. Od chwili odlotu z nad Niagary upłynęło najwyżej godzin dwanaście, *Groza* więc nie miałaby czasu na przebycie Atlantyku lub oceanu Spokojnego. Byliśmy więc stanowczo na terytoryum Nowego Świata.

(d c. n.)



## Gospodarstwo mrówek.

(Dokończenie)

### Bohaterstwo mrówek.

W całym życiu mrówek przedewszystkiem zasługuje na uwagę, że pracują zawsze i wyłącznie dla ogólnego dobra, nie myśląc o sobie.

Robotnice wychowują z największem poświęceniem młode pokolenia, które są jakby dziećmi całego grodu, zbierają żywność na wspólny użytek, a dla ocalenia swych towarzyszek gotowe są w każdej chwili życie złożyć w ofierze. Piękny przykład takiego bohaterstwa opowiada nam pewien podróżnik po Australii, Ryszard Semon. <sup>1)</sup>

„Duże mrowisko sąsiadowało z moją siedzibą o 50 kroków, a skrzętne owady wydeptały między swoim, a mojem mieszkaniem jakby gościniec, po którym roiło się od mrówek. Sprzykszywszy sobie tych gości, postanowiłem z sąsiedztwa mego je wypędzić, bo żal mi ich było niszczyć, co łatwo zapomocą ognia uczynić mogłem. Rzuciłem więc na mrowisko garść okruchów naftaliny w przypuszczeniu, że to spowoduje zupełną emigrację.

Zaroilo się w mrowisku. Waleczne mrówki rzuciły się na wstrętne im i niebezpieczne kruszyny, porywały je szczękami, lecz uniósłszy niedaleko, rzucały z obrzydzeniem. Natychmiast nadbiegały inne, aby truciznę dalej przenieść. Zmieniając się ciągle, wyczyściły w niespełna dwie godziny mrowisko tak, iż nie została tam nawet najmniejsza kruszyna naftaliny. Potem wszystko wróciło do pierwotnego ładu.

<sup>1)</sup> St. Kluczycki. „Mrówki“.



— Dziedzic stanął na odległość strzału, wycelował i strzelił, ale nie zabił baka, tylko go zranił. Wtedy rzucił się na niego pies, którego mieliśmy z sobą. Bałem się trochę o Wiernego, bo wiedziałem, że raniony bak wywraca się na grzbiet i broni, zadając ostrym końcem dzioba bolesne uderzenia. I tak się stało. Bak nie dał się ująć, tylko poranił psa. Nakoniec po kępkach trawy dostałem się bliżej niego, strzeliłem ostrożnie, żeby nie trafić w Wiernego i zabiłem. Zabraliśmy go do dworu, a na drugi dzień dobrze mu się przyjrzałem.

— I jak on wygląda?—zapytał Romuś.

— Dziób i nogi ma zielonkawe, pióra żółtaworude, nakrapiane i prążkowane ciemno, a wierzch głowy czarny. Na szyi ma pióra znacznie dłuższe, które w gniewie najeża, tak jak widziałem, gdy się bronił przed Wiernym. Podobny jest do czapli i lata jak czapla z nogami wyciągniętymi i z szyją na grzbiet zagiętą.

— Bo też i należy do rodzaju czapel, — dodała mama.

— Mamusiu, jak jabym chciał iść kiedy na polowanie na baki,—wykrzyknął z zapałem Romuś.

— O to jeszcze panicz musi poczekać, aż duży urośnie,—rzekł śmiejąc się Michał, — bo trzeba unieść chodzić po bagnach, a jeden krok nieostrożny i już się jest po kolana w wodzie.

— To chociaż, gdy wuj znów pójdzie na polowanie i zastrzeli baka, przyjrzę mu się jak wygląda,—powiedział po namyśle Romuś.

Dojechali do dworu a bagna pozostały daleko, przeszło półtorej wiorsty za nimi, jednak silny głos baka słyhać było jeszcze wyraźnie.

*J. Grzmielewska.*



J. PIASECKA.



## Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

— Ja, już nie mogę dziś iść — rzekł dnia szóstego Jędrus, gdy go Felek gwałtem ścigał z ławy — mnie nogi już wcale dźwigać nie chcą, głowa mnie boli.

Felek zasepił się.

— Źle — mruknął — do całej biedy tego tylko brakowało, żebyś się rozchorował.

Namawiał Jędrusia, żeby się otrząsnął z tej niemocy, umył zimną wodą i napił, ale gdy Jędrus istotnie nie mógł się podnieść, a do warsztatu zaczynali schodzić się czeladnicy,

Felek prosił najstarszego, czyby nie pozwolił choremu przyjacielowi pozostać w warsztacie i położyć się w kącie za piecem.

— On tu nie będzie przeszkadzał, odpocznie trochę, jutro go zabiorę! — Starszy niezbyt chętnie przystał jednak, Felek wyszedł, a Jędrus powlókł się za piec.

Głowa pałała mu, usta miały spieczone.

Hałas, uderzanie młotów, zgrzyt pilników i kłótnie pracujących wydawały mu się istnem piekłem.

— Och, to chyba najcięższa kara, jaką mi Bóg zesłał, za to moje przestępstwo, — myślał. — Och, jak mi ciężko. Boże, żeby tylko nie umrzeć.

Zaczął od modlitwy, przeszedł myślą do dziadusia, a potem, zamroczyło mu się w oczach, spuścił głowę, zwinął się w kłębek i tak bez ruchu w nieświadomości leżał długo, bardzo długo.

Sam nie wiedział, co się z nim stało, stracił świadomość, czasu, miejsca. — Gdy otworzył oczy, otaczała go ciemność. — Zaczął szukać rękami wokoło siebie i przywoływać Felka cichym głosem.

— Felek, czy ty śpisz?—zawołał głośniejsze. Nie było odpowiedzi.

— Pewnie się zmęczył tą dzienną wólcęgą i zasnął mocno, — pomyślał.

Położył się i podsunął węzelek pod głowę. — Oczy mu się zamknęły, zaczął snić, że wrócił do dziadka, że go z radością witał, — gdy wtem...

— Cóż to?—czy to sen jeszcze?—czy to rzeczywistość?

Słyszy wyraźnie lekki stuk o szyby, potem ostrożne otwieranie okna, a następnie widzi dwie ciemne postacie, wsuwające się do warsztatu. Oddech zatrzymał w piersiach, zniechęcił jak kamień, chciałby się był w tej chwili zamienić w ziarno piasku i być niewidzialnym.

Postacie zbliżyły się do warsztatu.

— A tych włóczęgów nie ma tu?—zapytał jeden nagle.

— Nie, nie widziałem ich cały dzień, pewnie nie wrócili.

— To dobrze, spieszymy się.

Zapalili małą świeczkę i przy jej słabym światle, zaczęli szukać czegoś między narzędziami.

Jędrus otworzył jedno oko, i poznał dwóch chłopców, pracujących w warsztacie.

— Cóż, masz?—spytał znowu któryś.

— Mam, ale i ten nie będzie dobry, tam zamek głęboki, trzeba dłuższego.

— To możeby wziąć wytrych?

— Mam już.



— Więc jazda!

— Gdzie?

— Chyba na Białą, pod № 33, do tej starej, wiesz, co to maćdrała mówił, że bogata a skapa?

— Tam dziś nie można, bawi u niej siostrzeniec, z mężczyzną byłoby trudniej, lepiej jutro, bo odjedzie.

Coś jeszcze do siebie szeptał, wyskoczyli potem przez okno, zamykając je cicho.

Jędrnś drżał jak liść osiki, krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Złodzieje, — szepnął do siebie — to są złodzieje, którzy wybierają się okraść jakąś staruszkę! Mówili Biała № 33. — To pewnie ona tam mieszka, — gdzież ja jestem? w gnieździe złodziejskiem!

Nie mógł już usnąć. W myśli powtarzał sobie ciągle, Biała № 33, aby, broń Boże, nie zapomnieć i czekał z upragnieniem świtania, by jaknajprędzej, tę ohydłą norę opuścić.

(d. c. n.)

## Zadania i łamigłówki.

### Łamigłówka literacka.

ul. Róża bez kolców.

- 1) ■ \* \* \* \* \*
- 2) ■ \* \* \* \* \*
- 3) ■ \* \* \* \* \*
- 4) ■ \* \* \* \* \*
- 5) ■ \* \* \* \* \*
- 6) ■ \* \* \* \* \*
- 7) ■ \* \* \* \* \*
- 8) ■ \* \* \* \* \*
- 9) ■ \* \* \* \* \*
- 10) ■ \* \* \* \* \*

Zamiast krepek i gwiazdek postawić głoski tak, aby otrzymać 10 tytułów rozmaitych utworów literackich. Pierwsze litery tych tytułów złożą nazwisko już nieżyjącego powieściopisarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Utwór Korzeniowskiego; 2) Utwór Słowackiego; 3) Powieść Kraskiewicza; 4) Komedia Fredry; 5) Poemat Mickiewicza; 6) Powieść historyczna Sienkiewicza; 7) Sielanka Brodzińskiego; 8) Utwór Goszczyńskiego; 9) Powieść Rodziewiczówny; 10) Utwór Krasińskiego.

### METAGRAM.

ul. Sokoł podniebny.

Przez **b** — to statek: na Wiśle znajdziecie,  
Przez **m** — to znaczek różnego szacunku,  
Przez **p** — to bułka pewnego gatunku,  
Przez **w** — to miasto w Grójeckim powiecie.

## FIGIEL.

ul. Nowicysz.

Co zrobić z zegarkiem, który nie jest zepsuty, a tylko dwa razy na dobę dobrze godzinę wskazuje?

### Rozwiązania do № 36-go.

**Arytmografu ósemkowego:** 1) M.; 2) Jad; 3) Prusy; 4) Sieradz; 5) Adyga; 6) Ach; 7) Szyby; 8) Murzyni; 9) Blysk; 10) Ucz.; 11) H.

Środkowe litery tych wyrazów składają następujące imię i nazwisko: Maurycy Zych: jest to pseudonim Żeromskiego.

**Szarady:** Wrze—sień.

**Metagramu:** Buk,—łuk,—luk,—żuk.

### Rozwiązanie szarad do nagrody z № 34-go.

Jak przewidywaliśmy „Wieczór szaradowy“ ogólnie się czytelnikom naszym podobał i pomimo pory wakacyjnej sporą ilość znalazł rozwiązyjących, a chociaż nie wszyscy trafne odpowiedzi nadesłali, mamy nadzieję, że nie zniechęca się tem niepowodzeniem i za następnym razem z lepszym skutkiem sił swych spróbują.

Lista trafnie rozwiązyjących przedstawia się jak następuje:

z Warszawy — jedni tylko Karol i Halina Huzarscy;

z poza Warszawy — A. G. z Rawicza, Alina i Eugenia Woźńskie z Archangelska, Pisklatko z Botwinówki, Sroka z nad Narwi, Aniela i Julia M. z Szydłowca, Maryelna Potworowska z Radoryża, Czytelniczka „Wieczorów“ z Lipna, Gosposia z Petesburga (piękna karta z zasuszonemi szarotkami) i Wilga z Osobnego. Prócz powyższych po jednej szaradzie rozwiązały: Halina z nad Switezi, i Zocha z nad Szczary.

Do nagrody wylosowani zostali: **Karol i Halina Huzarscy** z Warszawy oraz **Alina i Eugenia Woźńskie** z Archangelska. Pierwsi i drugie otrzymują po 10 kart ilustrowanych.

Karol i Halina K. mogą swoją nagrodę odebrać w redakcyi, a Alinę i Eugenię W. prosimy o nadesłanie swego dokładnego adresu.

Przy sposobności zwracamy uwagę czytelników, że nadsyłając rozwiązania łamigłówek nie potrzeba powtarzać treści zadań, wystarcza napisać: rozwiązanie takiego to zdania z tego i tego numeru.

### Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

**Leon Olbracht.** (Opaków, gub. Radomska) życzy sobie zamieniać pocztówki z czytelnikami „Wieczorów“.



Ażeby jednak postawić na swoim — rzuciłem na mrowisko kilka okruchów sinku potasu. Scena powtórzyła się, lecz z innym skutkiem, bo wyrzucenie tej trucizny, której woń, — a cóż dopiero dotknięcie — zabija te stworzenia, nie udawało się. Pomimo to widziałem mnóstwo mrówek, które odważnie chwytaly truciznę, padały i marły. Noc zapadła, odszedłem więc pewny, że mrówki opuszczają swą zadżumioną ojcowiznę.

Jakże byłem zdziwiony, widząc nazajutrz całą powierzchnię mrowiska usianą trupami mrówek, ale — ani kawałeczka sinku potasu. Więcej niżeli połowa załogi poległa w tej rozpaczliwej walce, lecz poświęceniem własnego

życia potrafiły ocalić resztę współbraci, unosząc kruszynę po kruszynie trucizny, aby co — krok przy niej paść trupem.

Poza mrowiskiem zakopały i przykryły liściem i gałązkami tę zabójczą truciznę, iż szkodzić nie mogła. W ciągu dnia pozostałe przy życiu mrówki uprzątnęły ciała poległych swych bohaterów, a mieszkańcy grodu, choć mniej liczni, zostali w posiadaniu ojcowizny, tak nie równanie po bohatersku bronionej.

Heroizm małych owadów zaimponował mi tak, że uznałem się za zwyciężonego i zdałem się na łaskę i niełaskę mych walecznych sąsiadów.“

*Tomira.*



Szkłany dom.

## ZE ŚWIATA.

**Domy ze szkła.** Czy w życiu codziennem stykając się z rozmaitymi szklanymi wyrobami, przyszło wam kiedy na myśl, aby z tak napozór kruchego materiału jak szkło można było wznosić budowle?

A jednak taką, jakby się zdawało, niedorzeczną myśl powziął amerykański architekt Eastman i po opatentowaniu swego pomysłu zabrał się do wprowadzenia go w czyn, wystawiając w różnych miejscowościach kilka gmachów szklanych.

Jeden z takich gmachów przedstawia u nasza rycina. Dom wygląda niezwykle oryginal-

nie, a sposób budowy jego dosyć jest prosty: mlecznobiałe płyty 6-o milimetrowej grubości oprawia się w mocne ramy stalowe, stanowiące wiązanie całej budowli. Pomiedzy płytami wewnętrznymi i zewnętrznymi zostaje pusta przestrzeń, wypełniona jedynie powietrzem, dzięki temu wewnętrzne szklanego domu daleko lepiej zabezpieczone jest od zmian temperatury, niż zwykłe domu z cegły i, jak wykazały doświadczenia, w takich budowlach wychodzi za ledwie czwarta część opału zużywanego w domach murowanych.

Zaletami gmachów szklanych są jeszcze następujące własności: 1-e bezpieczeństwo od ognia, bo jeżeli nawet ogień wybuchnie, to, nie znajdując podatnego materiału, nie rozwinie się mocniej, a popękane przy wypadku



płyty dają się łatwo zastąpić nowemi: 2-e możliwości utrzymania w nich wzorowej czystości.

Z tych powodów budowie szklane znajdującą w Ameryce coraz większe rozpowszechnienie, a może i u nas zacząć wznosić za lat parę gmachy ze szkła, niby w czarodziejskiej bajce kryształowe pałace.

**Trzęsienie ziemi we Włoszech.** Żywiołowa klęska nawiedziła Włochy południowe: po północy z środy na czwartek 7-go września niezmiernie silne trzęsienie ziemi, około 10 sekund trwające, zniszczyło dziesiątki miasteczek i wsi.

W wielu miejscach w ziemi potworzyły się szczeliny 4 do 5 metrów szerokie, a około 20 głębokie.

Według przypuszczalnych obliczeń skutkiem katastrofy do 3000 osób utraciło życie, a przeszło 5000 jest mniej lub więcej rannych.

Większość zmarłych utraciła życie pod gruzami walących się domów i gmachów. Przerażeni mieszkańcy, którym udało się uciec cało, obozują na polach dokoła zburzonych osad.

Jednocześnie z trzęsieniem ziemi zwiększoną działalność ujawniają wulkany: Etna, Wezuwiusz i Stromboli, wyrzucają olbrzymie masy lawy, która obficie spływa po stokach niosąc zagładę wszystkiemu. W miejscowościach, dotkniętych trzęsieniem ziemi, zauważono niezwykle zjawisko, mianowicie wszystkie rzeki i strumienie przybrały znacznie, niektóre zaś, pomimo panującej suszy, wystąpiły nawet z brzegów. Jeszcze ciekawsze zjawisko spostrzeżono w Ameryce: oto w chwili, odpowiadającej trzęsieniu ziemi we Włoszech, zauważono w kalifornijskich kopalniach nafty niezwykle silny wybuch ropy.

Król włoski zwiedził osobiście miejscowości dotknięte klęską, a Papież z powodu katastrofy nakazał publiczne modły, składając jednocześnie znaczniejszą sumę na rzecz poszkodowanych w czasie trzęsienia ziemi. Na ten sam cel ze wszystkich stron Włoch ofiły płyną składki, dzięki czemu przystąpiono już do budowy tymczasowych baraków dla pozbawionych dachu nad głową mieszkańców.

Świadkowie naoczni katastrofy kreślą pełne grozy obrazy. Tak np. urzędnik kolejowy, który w ową noc nieszczęśliwą jechał pociągiem przez obszar, klęską nawiedzony, opowiada, że gdy około godz. 3-ej rano mieli wyjeżdżać ze stacji Paola, wagon pocztowy zaczął się kołysać gwałtownie, jakgdyby miał się przewrócić. Potem nagle uniósł się w górę i opadł znów z głuchym łoskotem na szyny. Ostatnie wagony pociągu uderzyły o siebie z trzaskiem, pasażerowie z krzykiem wyskakowali z przedziałów i uciekali. Zrazu powstało przypuszczenie, że najechał na inny pociąg, potem, że to zamach dynamitowy, niebawem jednak opatrzone się, że to klęska żywiołowa. Pociąg ruszył z miejsca i jechał wolno przez obszar spustoszony. Wszędzie ruiny i gruzy, drzewa powyrwane i pogięte, w St. Eufemii dworzec się zapadł, w Parghelii ani jednego domku, ani jednej chaty, ludzie nawpół obnażeni siedzieli nieruchomie na rumowisku, błędnym wzrokiem w dal zapatrzeni.

„Od jakich dziesięciu dni byliśmy zaniepokojeni wybuchami Stromboli“\*) — opowiada jeden z uratowanych mieszkańców Parghelii. — „Okolo godz. 10-ej udaliśmy się z rodziną na spoczynek. Upał panował straszny, w powietrzu unosiła się woń siarki, ale nie myśleliśmy nawet o katastrofie, gdyż objawy podobne u nas nie są bynajmniej osobliwością. Okolo godziny 2-ej obudziłem się. Uczułem nieznośną duszność w piersiach i, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, spostrzegłem, że wiszący naprzeciw mnie obraz św. Franciszka, kiwał się, jak wahadło zegarowe. Nie mogłem sobie tego wytłómaczyć i zasnąłem ponownie. Naraz zostałem wyrzucony z łóżka, dokoła mnie rozległ się huk i trzask, jakby tysiąca grzmotów.

„Sufit spadł na mnie, kurz, wapno zasypuje mi oczy. Leżę na ziemi i widzę jak mur rozdawia się przede mną. Zbieram siły, czołgam się do muru i wyskakuję przez szczelinę... Żona moja dostała się pod łóżko. Ciężki stół orzechowy rzucony wstrząśnieniem na łóżko, zranił ją. Wydobyła się wszakże i podobnie jak ja, odważyła się na skok przez szczelinę. Siedliśmy oboje pod drzewem figowym w ogrodzie zupełnie nieprzytomni. W tem... nowe wstrząśnienie. Teraz runął nasz dom. Wołania o pomoc rozdierają nocną ciszę, straszliwy huk podziemny nie ustaje. Zdawało nam się, że siedzimy w łódce na burzliwym morzu...”

Zdaniem geologa, prof. Pignatari, jedynym powodem katastrofy jest wulkan Stromboli. Chwilowa działalność tego wulkanu zaznacza się wybuchami dymu i gazów, a od czasu do czasu wyrzucaniem stałych i płynnych gorących substancji popiołu i kamieni. Pióropusz dymu rozszerza się podczas tej wzmożonej czynności do kształtu pinii. Zjawisko to, które powtarzało się przy trzęsieniach ziemi w r. 1782, 1794 i 1905 powinno służyć ludności za ostrzeżenie. Najpierw następuje wybuch, potem wstrząśnienia. Stromboli zaczął d. 29-go sierpnia r. b., o godz. 5-ej min. 44, silnemi wybuchami, w dziewięć dni później nastąpiło trzęsienie ziemi.

**Jak śpią różne narody?** Przeciętnie liczyć można, że śpiamy 8 godzin dziennie czyli trzecią część doby, stąd wniosek jasny, że trzecią część swego życia człowiek przesypia.

Wobec spędzenia w łóżku tak znacznego okresu życia nic dziwnego że ludzie z dbałością przygotowują swoje nocne leże, aby je uczynić wygodnemi.

Ciekawy jest sposób śpiąca różnych narodów: polacy, jak wiadomo, śpią na siennikach nasłanych słomą, — bogatsi używają włosianych materaców, pod głowę podkładają poduszki z pierza i nakrywają się kołdrami wołokowymi lub watowanemi.

Niemcy lubują się w piernatach, pierzynach i różnych betach puchowych.

Włosi mają poduszki twarde z wełny, a materace z morskiej trawy.

W Ameryce południowej śpią na hamakach sznurkowych. Indianie robią hamaki z długiej trawy, farbując je na rozmaite kolory.

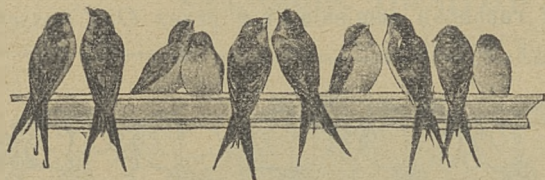
\*) Wulkan na wyspach Liparyjskich.



Japończycy wprost na podłodze rozścielają maty słomiane lub wełniane, a pod głowę kładą klocek drewniany.

Chińczycy mają niskie łóżka, które wyścielają matami ze słomy lub wełny stosownie do zamożności, a zimą ubierają się w szerokie szaty grubo watowane i w nich prost układają się do snu.

Najmniej kłopotu ze spaniem robią sobie murzyni: kładą się na ziemi tam, gdzie ich sen zmorzy i kwita.



## Skrzynka do listów.

Nigdy chyba, pisklęta kochane, listy wasze nie były mi tak miłe jak dziś, kiedy buki i jodły Świętokrzyskich lasów gną się od wichru. Stary dwór, który wedle podania, Piastom służył za schronienie w czasie myśliwskich do kniei wypraw, żartuje z burzy bo ma grube mury. A jednak wycie wichru przenika do wnętrza domostwa i smutne budzi myśli. Żal patrzeć na mękę olbrzymich drzew, gałęzie biją o ziemię, a zielone liście oderwane od pnia lecą tumanem na pole. Burza trwa już pięć dni, znikły w chmurach góry razem z klasztorem Świętokrzyskim. Ten klasztor, utulony wśród olbrzymich drzew, wygląda uroczco, a różnie o różnych porach dnia. Czasem stok góry zasnuwają mgły i cała budowa zdaje się unosić w powietrzu, czasem o zachodzie słońca staje w ogniach i goreje od blasków, czasem białe mury świecą jak lodowce na szczytach Alp. Ale dziś niema klasztoru, niema wieży, widać tylko tumany chmur rozciągnięte nad lasami.

«Bory dymią» mówi lud, istotnie wygląda to jakby ze stu niewidzialnych ognisk wlokły się dymy po górach.

Smutno i straszno, w taką porę odebrać miły list to radość prawdziwa, a pocztą przyniosła mi sporą paczkę waszych korespondencji.

Słowikowi odpowiadam najpierw, bo kiedy wicher rozdziera uszy, miło wspomnieć ptaszka, który cudnie śpiewać umie. Dobry ten ptaszek słusznie ocenił przymioty naszej wspólnej znajomej. Każdy kto zachodzi do redakcji «Wieczorów» tego samego doznaje wrażenia. Więc kiedy Słowiku cenisz wdzięk i uprzejmość, czemu chcesz mnie przerazić swoją mniemaną brzydotą. Młoda twarzyczka już samą świeżością podobać się musi, a gdy ją krasi dobroć to któż pytać będzie o więcej? Bóg tyle kwiatów rozsiał po świecie, a każdy ma swój urok wyłączny, wy młode dziewczynki kwiatami też jesteście, starajcie się tylko kwitnąć dobrocią, a posiadacie piękno, które serca bliźnich zjednywa.

Zgadłaś Sarenko, widziałam w lesie śliczną młodą sarnę z mądrymi dużymi oczami, która nie bała mnie się wcale, tylko spoglądała życzliwie. Odtąd bardzo lubię sarny i z niecierpliwością czekam spełnienia obietnicy odwiedzenia redakcji. Czemużby Jaskółka z sarną nie miały żyć w przyjaźni kiedy obie kochają swoją ziemię!

Zazdroszczę ci Rybko z Newy, istotnie, pluskać się w morzu to rozkosz prawdziwa, ja jak widzisz w góry się dostałam i używam swobody, ale muszek nie łapię, nie krzywdzę, bo oto:

Muszka z nad Rosi moja dawna przyjaciółka bardzo miłutko i z całym zaufaniem odezwała się do mnie. Więc Jaskółka wdzięczna za to donosi tej miłej Muszce ciekawą wiadomość. Według poważnego świadectwa ks. Semenki, słynny Juliusz Verne, którego ostatnią powieść drukują «Wieczory», nie był wcale Francuzem tylko Polakiem, urodzonym w Płocku, a nazywał się Olszewicz. Czy wiedziałas o tem Muszko? Jaka szkoda, że dopiero po śmierci ujawniła się jego narodowość, może potrafilibyśmy zatrzeć złe wrażenie, które podobno wywiózł z kraju, i może żałowałby niesprawiedliwości, jaką względem wielu z nas popełnił. Bo czemuż ogół ma pokutować za winy jednostek!

Prawda, że dawno nie pisałaś Jutrzenko, niestety mało na tem zyskała twoja kaligrafia. Zamiast przeproszać za nudną korespondencję, zamiast bać się mego gniewu, lepiej Jutrzenko kochana zadbać o staranność pisma. Miła mi bardzo twoja prośba o wybór książek, uczennica czwartej klasy musi już być słuszną panną, radziłabym więc czytywać szkice historyczne, podróże albo przyrodnicze książki, napisz który z tych działów wybierasz, a poślę ci odpowiednie tytuły dzieł.

Kwintus niech przyśle jeszcze na osobnej kartce swój adres, wiek i nazwisko, konieczne warunki konkursu, aby rysunek mógł być sądzony. Podanie o jaskółkach, zimujących w wodzie, jest powszechne u ludu, ale nie należy mu wierzyć. Ucieszyłam się zawarciem pokoju, bo nasz Niedźwiedź przyjedzie, bo wielu biedaków wróci do swoich rodzin, czemuż jednak wesoła być nie mogę. Patrząc na targane wichrem drzewa myślałam, że podobni jesteśmy do tych jodeł i buków, którymi tysiące miota niebezpiecznych prądów, oby nareszcie i dla nas słońce wyjrzało z za chmur.

Piękne masz zamiary Kropelko rosy. Mówisz żartując, że chcesz być okulistką, to jest ucząc biedne dzieci, otwierać im oczy na piękno i dobro. Jakże nam wielu takich lekarzy potrzeba. Bądź wzorem dla innych, była nim twoja czcigodna babunia, którą znać miałam szczęście. Tulę cię do serca i życzę powodzenia w pracy.

Czy znacie kwiatek, który smołką różową zowie my? Miły jest, cieszy oczy, a rośnie wszędzie gdzie wiejskie chaty przy drogach stoją. Moja Smółka różowa, ma 7 lat, umie śpiewać piosenki i opowiadać bajki. Jest wesoła jak ptaszek bo mówi za Konopnicką, że «gdzie panienka jest we dworze, tam nikt smutnym być nie może» wyrośnie też, da Bóg, na taką panienkę co to «nigdy sobie zawsze komu, jak ptaszyna śpiewa w domu». Rośnij ptaszyno, na pociechę tatusia i mamusi a napisz czasem do Jaskółki.

Szkoda, że zmieniłaś pseudonim Cyganko, pod dawnym obszerniejsze pisywałaś listy. A przecież tyle pięknych doznałaś w Tatrach wrażeń, popraw się i donieś o wszystkim co cię cieszy lub smuci.

Dziękuję Różo bez koleów za serdeczne twoje słowa. Pragnę gorąco pomódz ci w dalszym kształceniu, ale o tak ważnej kwestyi należy pomówić obszerniej. Przyjdź do mnie, wszak znamy się już trochę z muzeum, nie bój się starego ptaka, właśnie dlatego, że stary da dobrą radę kochanemu pisklęciu.

Ucieszyłam się wiadomością, że moje dwie korespondentki Minia i Przyłaszeczka będą nadal razem się uczyły, obu też z całego serca dziękuję za listy. Słusznie Miniu oburza cię handel niewolnikami, oby przepadł na zawsze teraz kiedy ludzie coraz więcej rozumieć zaczynają obowiązek szanowania praw braci



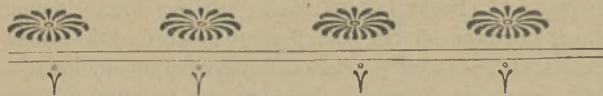
bliźnich. Zato nie dzielę zdania Przylaszczki o Rzymianach. Grecy wedle mnie więcej zasługują na uwielbienie, ich bohaterstwo kiedy chodziło nie o zdobycie ale o obronę własnego kraju, ich sztuki, nauki, poezya na zawsze zapewnią sławę Atenom i Sparcie. Z dzieł Askenazego radziłabym Przylaszczce przeczytać: Dwa stulecia i Życie księcia Józefa Poniatowskiego.

Dziękuję Bławatko polska za twój niezmiernie miły list, takie największą robią mi przyjemność, bo pozwalają wniknąć w głąb duszy. Jaskółka z dumą i radością stwierdza, że dużo w tych duszach szlachetnego zapału, że będzie komu mieć pieczę o gniazda, kiedy nadejdzie dla starych ptaków czas odlotu tam skąd nikt już nie wraca. Słusznie chcesz zwalczać miłość własną, bo nie uczucie zadowolenia z siebie tylko wytrwałe dążenie do doskonałości jest miarą wartości człowieka. A któż może nazwać się doskonałym, kiedy wszystko cokolwiek widzimy, co zdobywamy myślą uczy nas pokory. Dobrze jednak skierowana miłość własna bywa pobudką do szlachetnych czynów, bo komu drogie dostojeństwo duszy ten tej driszy nie pokala, pracując zaś nad sobą potrafi z czasem przekuć miłość własną na wszechmiłość i wszechpobłażenie. Bądź takim kowalem Bławatko.

Astra to także nowa korespondentka, witam ją serdecznym uściskiem dziobka i łapek za to, że słabą będąc napisała jednak do Jaskółki: szczegóły o płatnych koloniach letnich bardzo mnie zajęły, mam nadzieję, że powrócisz na nie za rok, kochana Astro, i odzyskasz zdrowie.

Powisłanko kochana, jakże miłą niespodziankę zrobił mi twój list, który odesłano tu za mną, bo nie zdążył na czas w Lubelskie. Pragnę bardzo zobaczyć ciebie i Bronię. Zrobię też wszystko co w mojej mocy żeby do was przyfrunąć mogła wasza

Jaskółka.



## Od Redakcyi.

**Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na kwartał IV — dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.**

## NOWE KSIĄŻKI.

Wydanie popularne dzieł *Henryka Sienkiewicza*, NOWELE tom I i II. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

Wydawnictwa redakcyi „*Kroniki Rodzinnej*”.

„*Wrogowie Wiary i Ojczyzny*”.

„*Apostolstwo Społeczne*”, *Franciszka Veulotta* (tłom z franc.).

„*Kochajmy Maryę*” przez *O. Raf. Kap.*

„*Klucz do rozmyślań czyli ułatwienie modlitwy, rachunku sumienia i t. p.* przez *O. Crusseta* (przek. z franc.).



## Ważne dla Rodziców i Wychowawców.

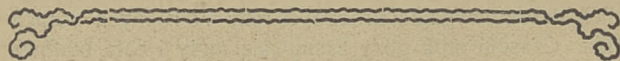
NOWA KSIĄŻKA Adama Szymańskiego

## O Najlepszym Elementarzu Świata

Cena 50 kop.

Skład: Księgarnia Naukowa, Krucza № 44.

Do nabycia wszędzie.

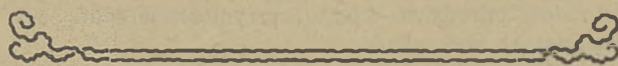


## ZAKŁAD NAUKOWY

## Bronisławy Sękowskiej,

Nowy-Swiat № 54, m. 15.

przyjmuje także uczniów i uczennice nieumiejących ani czytać ani pisać. Metryka jest wymagana. Zapis uczących się codziennie od godz. 1 — 4. Lekcje rozpoczęły się 1 września.



## Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** O zaćmieniach słońca i księżyca (z ryc.) przez St. Kramsztyka. — Piosenka jesienna (wiersz) przez E. Lejowa. — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Z. wycieczek wakacyjnych, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Król przestrzeni przez J. Verne'a (z ryc.) — Gospodarstwo mrówek przez Tomirę. — Ze świata (z ryc.). — Skrzynka do listów. — Nowe książki. — **Dodatek:** Latawiec (z ryc.) — Oj, ty boćku... (wiersz) przez Janinę Porazińską. — Bąk, przez J. Grzmielewską. — Dzielną Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadzania i łamigłówki. — Rozwiązania szarad z № 34-go.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczynie **Marya z Chomentowskich Balińska**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Септѣбря 1905 г.

W drukarni **E. Szyllera**, Nowy-Swiat 26.